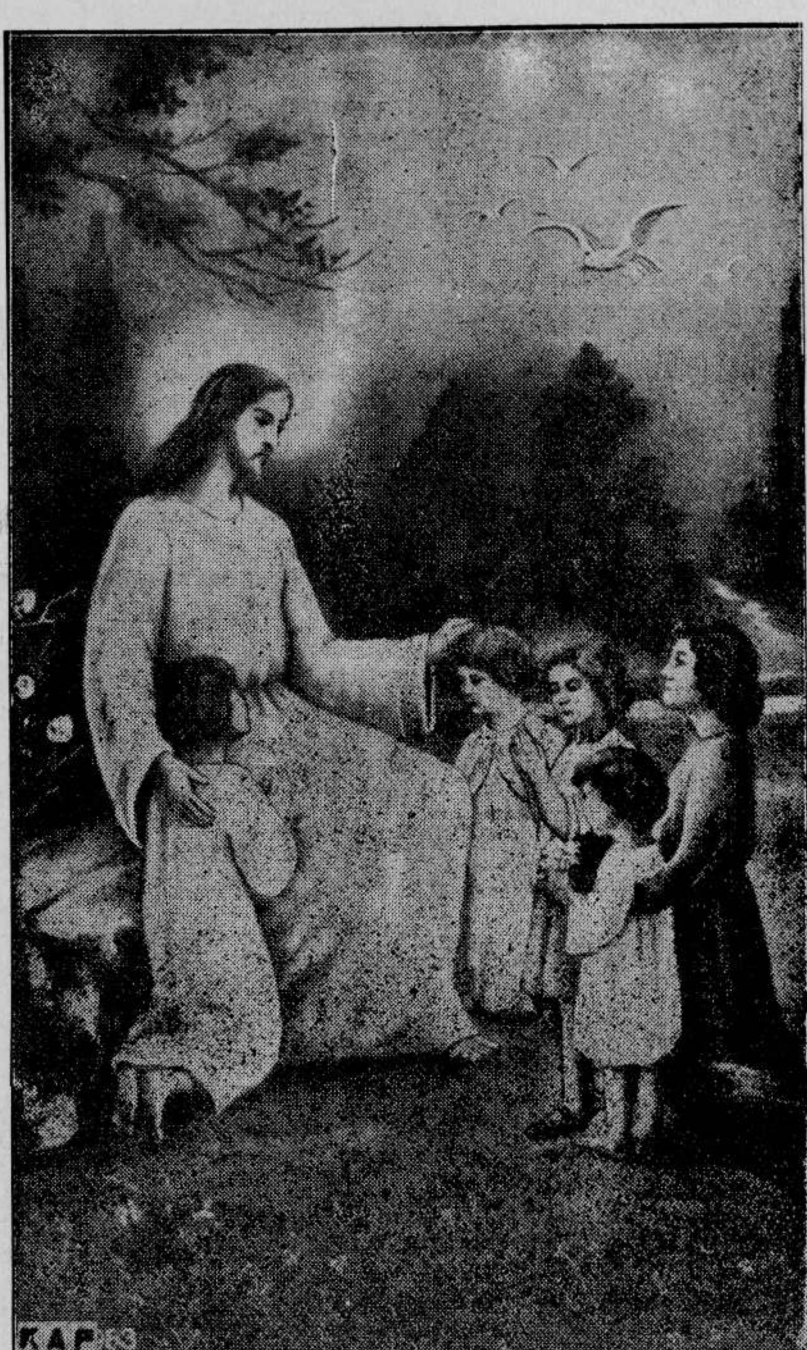
# OPIEKUN DZIATWY

BEZPŁATNY DODATEK DO „GŁOSU WĄBRZESKIEGO"

NR. 9 | WĄBRZEŹNO, DNIA 15 CZERWCA 1935 ROKU | ROK 5


## PÓJDŹCIE DO MNIE DZIATKI




*Posłuchajcie wszystkie dziatki,*
*Jak to Jezus woła was:*
*— Pójdźcie! nieście mi swe kwiatki,*
*Bo już nadszedł błogi czas.*

*W tym miesiącu czerwcu dla mnie,*
*Nieście mi ten serca kwiat —*
*Moje Serce was tak pragnie,*
*Jam wasz Ojciec — Jezus — Brat.*

*Więc się zbliżcie wszystkie śmiało,*
*Przed ołtarzem moich stóp —*
*Oby każde pamiętało,*
*Żem ja, Ojciec wasz i Bóg.*

*I zbierajcie dla mnie kwiatki,*
*Które kocham bardzo ja —*
*Pójdźcie! pójdźcie! do mnie dziatki,*
*Bo wam Jezus szczęście da!*

*I ukryję was w mej ranie,*
*Jak te kwiatki pięknych róż —*
*Niechaj że się to już stanie,*
*Pójdź dziecinko do mnie już.*

*Ja Ci dam tych uciech wiele,*
*Które będziesz z Serca pić —*
*A twe myśli, proste — szczere,*
*O radości będą śnić.*

*Więc się zbierzcie wszystkie razem,*
*Jak ten lilji polny kwiat,*
*W mym kościele przed ołtarzem,*
*Aby widział cały świat, —*

*Że serduszka czyste macie,*
*Że wam słodko przy mnie stać —*
*O wspomnijcie o zapłacie,*
*Którą każdy chciałby znać.*

*A więc dziatki ukochane,*
*Złóżcie Bogu serca kwiat,*
*Bo to Serce ukochane,*
*To wasz Jezus — Ojciec — Brat.*

*J. Kubikówna*

## Marja i córka wieśniaka

*(LEGENDA KASZUBSKA)*

Wonczas, gdy Marja wędrowała z dzieciątkiem Jezus po ziemi, przybyła pewnego razu do chaty jakiegoś wieśniaka, prosząc o nocleg. — Lecz ten odpowiedział:

— Moja chatka jest mała. Mam dużo dzieci, więc dla Ciebie już miejsca nie mam.

Na gorące prośby Marji rzekł:

— Na polu stoi moja szopa, w niej jest świeże siano, tam możesz z twoim chłopcem przenocować.

Marja poszła do tej szopy. Skoro już się ściemniło, ukazała się nad tą szopą wielka ilość gwiazd, które rozświecały ciemności. Wieśniak ów miał ułomną córkę, która już od urodzenia nie miała rąk. Ta właśnie dziewczynka ulitowała się nad obcą kobietą; pobiegła do szopy, aby jej towarzyszyć.



Marja rzekła do niej:

— Podaj mi proszę, moje dziecię, chcę je nakarmić!

— Jakże ja mam podać ci dziecko, kiedy ja przecie rąk nie mam? — odrzekła ze smutkiem. Lecz gdy powtórnie schyliła się nad Dzieciątkiem, spostrzegła, że jej ręce urosły. Podniosła tedy Jezuska i zaniosła do matki.

Klaszcząc wesoło w ręce, pobiegła do ojca swego i zawołała:

— Ta obca Pani podarowała mi ręce, ażebym mogła jej podać Dziecinę.

— Natenczas zaprowadził ojciec Marję do swojej chaty, nakarmił Ją i Dzieciątko najlepszem co tylko miał i pozwolił jej przespać się w swem łóżku. Sam zaś położył się z dziećmi na próg domu i czuwał nad spokojem Marji. *Jan Patock*

## Na wakacje!

*Skończył się już szkolny znój*
*I wakacyj nadszedł czas.*
*Na wieś ruszaj bracie mój,*
*W słońce idźmy wszyscy wraz!*

*Na wycieczkę wzywa gaj,*
*Gdzie śpiew ptaków wdzięcznie brzmi,*
*Tam dopiero szczęścia raj,*
*Tam nas proszą miękkie mchy.*

*Lecz wśród uciech wolnych dni*
*Twój „OPIEKUN" prosi Cię:*
*„Weź mnie też do ręki Ty!*
*Proszę! nie porzucaj mnie!*

*W. Rzeczewski*

## Dla swoich

Nieprzyjaciel grasował po kraju. Wojska jego rozeszły się po wszystkich prawie drogach, tropiły powstańców po leśnych odstępach, przetrząsały chaty chłopskie, a kule i postronek znaczyły ślady, kędy przechodziły.

Wieczorem stanął oddział nieprzyjacielski przed chatą leśnika. W domu był tylko Janek, syn leśnika. Gdy usłyszał tętent koni, chciał się był ukryć; ale wydało mu się to niegodnem tchórzostwem, śmiało więc z głową podniesioną stanął na progu.

— Gdzie ojciec, gadaj!

— Pojechał z drzewem do miasta.

— Nie kłam! gdzie się schował?

— Szukajcie!

Oficer wszedł do izby, przetrząsnął ją, nie znalazł nikogo.

— Słuchajcie! Czy przejeżdżali tędy strzelcy polscy?

— Przejeżdżali.

— Gdzie pojechali?

— Na prawo do sąsiedniej wsi.

— Czy znasz drogi w lesie?

— Znam.

— Prowadź! tylko wiedz, że jeśli złą drogę pokażesz, kula w łeb cię nie minie.

Janek sukmankę naciągnął, na chatę spojrzał, jak gdyby żegnał ją rzewnem spojrzeniem, i stanął na czele oddziału. Prowadzi go zrazu dróżką w lesie ubitą, potem przez gąszcz przedzierać się kazał, aż żołnierze z koni pozsiadać musieli.

— Ej! czy tylko dobrze prowadzisz? Pamiętaj, kula w łeb za zdradę.

— Za zdradę? wobec kogo? — pomyślał Janek. Serce mu gwałtownie biło. Czy tylko nie spostrzegą się za wcześnie? Na lewo poprowadził ojciec naszych. Tu bezdroża się zaczną, oni zabłądzić muszą. Nasi dopiero co przebiegli, mało broni mieli, a tych taka gromada... Trzeba ich odprowadzić jak najdalej — myślał dzielny chłopak i szedł wciąż dalej i dalej.

Ale oto już i znane moczary. Janek wdrapał się na sosnę. Tak, dobrze stąd nie wydostaną się tak szybko.

— Panie oficerze! — zawołał — wprowadziłem was w bezdroża. — Przykro mi, że kłamałem przez chwilę, ale inaczej nie mogłem bronić naszych. Zginę szczęśliwy. Niech żyje Polska!..

Oficer nie dosłuchał słów ostatnich. Wymierzył, strzelił. Janek nie skończył, okrzyku, serce przeszyła mu kula wroga.

## Naprzód!

*Dopóki starcza żywota*
*I serce w piersiach kołacze,*
*Ponad te ziemskie rozpacze,*
*Kędy Jutrzenka lśni złota —*
*I szuka Prawdy i słońca!...*

*Nie wolno trwać nam w rozterce*
*Lecz ciągle naprzód iść trzeba,*
*Choćby tchu brakło i chleba,*
*Choćby bróździli oszczercze:*
*Bo ten zwycięża, kto słucha*
*Sumienia swego i ducha!...*

*E. K.*

## Dwaj pracownicy

Pewien robotnik nosił mularzom kamienie. Kamienie były różnej wielkości, były tam małe i większe, lekkie i ciężkie, a jeden największy. — Wszystkie te kamienie trzeba było podać. Ile razy robotnik zbliżył się do największego kamienia, spoglądał na niego niechętnie i zostawiwszy go na miejscu, odnosił inne. Trapił się ciągle myślą, że ten ciężki kamień będzie musiał dźwigać. Wreszcie zabrał się do dzieła, lecz ponieważ był już zmęczony, zabrakło mu sił. Musiał więc ciężki kamień zostawić na miejscu. Tym sposobem nie spełnił wszystkiego, czego się podjął, i zarobek jego był mniejszy.

Drugi robotnik inaczej postąpił. — Odniósł najpierw największy, odpoczął chwilę, a potem zabrał się do mniejszych. Wskutek tego miał pracę lżejszą. Podczas pracy był ciągle wesół, wiedząc, że spełnił najtrudniejsze zadanie.

*ZŁOTE MYŚLI.*

Bóg wypożycza człowiekowi życie,
Ale go nie daje na własność.

(Józef Słupski.)

Modlitwa jest listem do Boga.
Dobra książka listem od Boga.

# Opowiadanie Cioci Pióro

## PRZYGODY BASI W POSZUKIWANIU KRASNOLUDKÓW.

Basia dostała na urodziny śliczną książeczkę o krasnoludkach. Nigdy jeszcze żadna książeczka nie zajęła Basi tak, jak to ostatnia. Najpierw czytała ją Basi mamusia, potem znów od początku tatuś, potem ciocia Jadzia. Czytali ją Basi wszyscy. Teraz Basia umie ją prawie całą na pamięć.

Nie skończyło się jednak na tem. Od pewnego czasu Basia zamęcza wszystkich pytaniami. — Czy krasnoludki istnieją naprawdę? Czy to tylko bajka? A jeżeli są to gdzie mieszkają?

Mamusia odpowiada zwykle Basi, że niema czasu na zajmowanie się krasnoludkami, tatuś kiwa głową i radzi Basi, żeby poszukała i sama się przekonała czy krasnoludki są. Ciocia Jadzia bierze Basię na kolana i opowiada:

Dawno, bardzo już dawno, tak że nikt już nie pamięta tych czasów, na świecie było bardzo dużo krasnoludków. Mieszkały one w lasach, pod korzeniami wielkich sosen, albo pod ziemią. To były leśne krasnoludki. Były i inne — domowe. Te mieszkały w domach, najczęściej gdzieś na strychu, w lecie w piecach, w zimie w ciemnych zakamarkach i kątach.

Leśne krasnoludki miały zawsze dużo roboty. Więc przedewszystkiem kiedy słońce zbyt silnie przypiekało i wysuszało ziemię, krasnoludki podlewały kwiaty, zmęczone, pochylone i spragnione wilgoci. Oczyszczały z kurzu ich kolorowe płatki i dodawały im sił do wytrwania w spiekocie słońca. A kiedy pierwsze przymrozki w jesieni mroziły małe listeczki, krasnoludki okrywały je suchemi igiełkami sosen.

Krasnoludki zawsze i wszędzie były bardzo pożyteczne i dobre. Kiedy wicher i burza szamotały gałęziami drzew i z gniazd wypadały małe, niezaradne pisklęta, zawsze znajdowały one opiekę. Krasnoludki karmiły je i ogrzewały. Te małe stworzonka z białymi bródkami w czerwonych i zielonych czapeczkach miały wszędzie dużo przyjaciół. Nie lubiły ich tylko pająki, bo im krasnoludki wydzierały zdobycz, małe drżące ze strachu muszki.

Krasnoludki domowe, mieszkające na strychach domów opiekowały się gniazdkami jaskółek, myszkami i kociątkami. Często małe kocięta składała kotka w skrzyni, lub na podłodze. Wtedy Krasnoludki wyszukiwały w szafach i koszach jakieś gałganki i szmateczki i podścielały maleństwom, żeby im było ciepło. — Wypędzały szkodniki — mole.

W późniejszych czasach, gdy zaczęto wycinać lasy, budować duże murowane domy, krasnoludkom coraz gorzej się działo. W zimnych szarych murach, nie było miejsca dla krasnoludków, wycięte lasy pozbawiły je ukrycia. Po brukowanych ulicach, trudno chodzić. Coraz mniej też jest krasnoludków na świecie i coraz mniej...

Basia siedziała zasłuchana. Ciocia Jadzia skończyła, a mała Basia zsunęła się z kolan i cichutko podeszła do pieca.

— Może tam jeszcze siedzą małe krasnoludki — szepnęła do siebie, — może znajdę krasnoludka, trzeba poszukać.

Ostrożnie, uważając żeby drzwi nie trzasnęły zaczęła wchodzić na schody, wiodące na strych. Skrzyp skrzyp — skrzypiały schody. Gdzieś drzwi pchnięte wiatrem jęknęły na zawiasach.

Basia szła odważnie naprzód. — Strych pachniał trochę kurzem, trochę starością. Ciemność i mrok osłaniały wszystko dokoła. Basia czuje się trochę nieswoją. Jest bardzo cicho, — a jednak... ciągle coś skrzypi, stuka, coś się rusza. Basia stąpa cicho na paluszkach, żeby nie spłoszyć krasnoludków. A może to krasnoludki chodząc, powodują te szmery? Może w tym wielkim kufrze śpią, między ubraniami? Może w wielkiej szafie, czy w szufladzie zajęte są czemś? Basia podnosi wieko kufra delikatnie unosi plet. Niema nic. Mimo wszystko Basia już się nie boi. Przecież krasnoludki są napewno tutaj i nic złego małej dziewczynce nie zrobią. W ścianie na końcu strychu widać otwór. Kiedyś było tam przejście na sąsiedni strych dziś jest zabite deskami. Jedna deska odstaje trochę. Basia podnosi ją. — Teraz otwór jest większy. Może tam jest kryjówka krasnoludków?

Basia jest malutka, więc z łatwością przechodzi przez otwór. Tu jest jeszcze ciemniej. Basia robi krók naprzód — jeden — drugi... Nagle czuje, że nóżka trafiła w próżnię: — Basia spada gdzieś. Brzęk, łomot huk — i ciemność.

Powoli Basia otwiera oczki. Leży na schodach, głową nadół, rączki rozrzucone. Prawa ręka boli. Unosi głowę — cóż to, pod głową ma jakąś poduszkę, starą wytartą...

Po chwili nadeszła mamusia, zaniepokojona hałasem na schodach. Basię zaniesiono do łóżeczka. Rączka zadrapana krwawiła. Okazało się, że Basia weszła na drugą część strychu zamurowaną i oddawna nieużywaną. Basia nie spostrzegła w ciemności otworu klatki schodowej i spadła — gdyby nie ta poduszka na którą upadła mogłaby się zabić — mówiła mamusia.

Basia jest teraz przekonana, że krasnoludki są naprawdę. Bo skądby się wzięła stara poduszka na schodach; Napewno krasnoludki podsunęły Basi pod głowę, kiedy spadła. I Basia nie zamęcza już nikogo pytaniami.

## Tydzień

*Szyła baba worek*
*W poniedziałek, wtorek.*
*W środę spruła żywo,*
*Bo uszyła krzywo.*

*Widział stary Bartek,*
*Jak znów szyła w czwartek —*
*I znów pruła w piątek,*
*Bo zły był początek.*

*Zaczęła w sobotę*
*Odnowa robotę.*
*A w niedzielę całą spała,*
*Bo się wielce spracowała.*

## Humor

### SPRYTNY JACEK.

Jaki jest dziś dzień, Jacku? — pyta nauczyciel.

— Środa.

— A ile dni ma tydzień, wiesz?

— Siedem, proszę pana.

— A wiesz, jak się te dni nazywają?

— Wiem...

— No, to powiedz!

— Przedwczoraj, wczoraj, dziś, jutro, pojutrze i niedziela, proszę pana.

—o—

### W SZKOLE

— Słuchaj no, Jasiu, dlaczego napisałeś zadanie o mleku na pół kartki? Patrz, twoi koledzy napisali to samo zadanie na 4 i 5 kartek...

— Bo ja, proszę pana psora, pisałem o mleku skondensowanem.

—o—

Majster: — Co to takiego? zegar nie bije?

Uczeń: — Pan majster powinien go naśladować.

*JULJAN PODOSKI.*

# BANZAJ

8) POWIEŚĆ

— Toby wyglądało na moją ucieczkę, a ja uciekać nie chcę!

Zresztą cała sprawa nie wydałaby się zupełnie, gdyby nie Ślaski. Po namyśle Jurek odczuł całą brzydotę swego postępku. Z płaczem opowiedział o nim w domu. Rodzice, ludzie rozumni i wykształceni, postanowili krzywdę naprawić. W tym celu matka Ślaskiego zjawiła się u wychowawcy Zienieckiego i opowiedziała o wszystkiem. Przyrodnik oburzył się okropnie i niezwłocznie udał się do dyrektora. Zwołano radę pedagogiczną, która rozpatrzywszy zdarzenie, doszła do przekonania, że sprawcę awantury, Janka Ślaza, trzeba usunąć ze szkoły. Należało mu się tembardziej, że nie była to pierwsza sprawka łobuza i leniucha, źle wpływającego i psującego innych chłopców.

Winowajca wykręcał się, jak mógł. Długo i zawile tłumaczył się, że to nie on zaczął, ale Ślaski. Dlaczego więc nie usuwają także tamtego? Jurek, w gruncie rzeczy dobry i łagodny, bez upiększeń i szczerze opowiedział wypadki poprzedzające awanturę. Inni chłopcy potwierdzili także, że nie Ślaski, lecz Ślaz w pamiętnym dniu, przyniósł pewną książkę, w której pisano o stosunku Anglji do ras kolorowych. On też przekonał przyjaciela Stefka i namówił go do zmiany miejsca.

Wina i zła wola Janka była dowiedziona.

Wezwano jego matkę, kobietę biedną i wdowę, która ze zgrozą dowiedziała się o zamiarze usunięcia syna z gimnazjum. Przerażona poczęła błagać, żeby mu darowano poraz ostatni, gdyż na nim pokłada całą nadzieję na stare lata. Żaliła się i prosiła tak długo, że dyrektor i Ziemiecki ulegli jej prośbom. Postanowiono, że Ślaz przeprosi Stefka w obecności całej klasy.

Tutaj też okazał on całą marną duszę.

Nie na żarty przestraszony groźbą wyrzucenia ze szkoły, zmienił się w jednej chwili, stając się niezmiernie czuły i serdeczny dla Stefka. Przedtem jeszcze, zanim nastąpił akt przeprosin w obecności wychowawcy i dyrektora, podszedł do Mirskiego:

— Chcę ci darować, wiesz? — rzekł bezczelnie.

— Ty, mnie? — zdumiał się Stefek.

— No widzisz — kręcił łobuz — to jest chciałem, żebyśmy się wzajemnie przeprosili...

Mirski odsunął się z niechęcią:

— Ja tobie nic nie zrobiłem i nie widzę potrzeby przepraszania.

Zmieszany nieco Ślaz, przestąpił z nogi na nogę, zwracając się do innych chłopców:

— Widzicie jaki zawzięty? Chce, żeby mnie wyrzucili.... Napewno umówił się zawczasu z Zienieckim i Rąbem:

Machnął ręką i odszedł:

— Niech go licho weźmie, tego...

Ugryzł się w język i trwożliwie obejrzał, czy nie słyszy go który z profesorów. Usiadł na ławce pod ścianą, podparłszy brodę kułakami. Udawał zmartwienie.

Tymczasem chłopcy szeptali między sobą, coś tłumacząc i kłócąc się zawzięcie.

Stefek zatopił wzrok w podręczniku geometrji, zapominając o rozmowie ze Ślazem. Odezwał się dzwonek. Nauczyciel wszedł do klasy. Na następnej pauzie, gdy Mirski chciał wyjść na korytarz, zastąpił mu drogę Ślaski. Był niepewny i zawstydzony:

— Stefku...

Mirski podniósł smutne oczy i czekał:

— To ja byłem winien wtenczas.

Mały „Japończyk" starał się uśmiechnąć, lecz nie mógł. Bolesny grymas wykrzywił mu usta:

— Ja się na ciebie nie gniewam.

— Bo wiesz, ja się pomyliłem...

— Pomyliłeś się?

— Tak — skwapliwie tłumaczył Jurek — Japończycy, to zupełnie coś innego, od innych nie — białych...

— Głupstwo, nie mówmy o tem.

— Właśnie trzeba, żebyś wiedział — upierał się Ślaski — to była omyłka, bo jak mi mówili w domu, często zdarza się tak, iż Anglicy żenią się z Japonkami i nikt nimi za to nie gardzi...

Ledwo zabliźniona rana małego Mirskiego, znowu zaczęła okropnie palić. Z trudem zdobył się na spokój i nagle zapytał:

— A gdyby moja matka była Chinka?

Ślaski zmieszał sie i nie wiedział, co odpowiedzieć. Odrzekł za niego sam Stefek:

— Nie o to mi chodzi, żeś wtenczas dał się przekonać Ślazowi. Bolało mnie i boli to, że uważałem ciebie za przyjaciela...

— Jestem nim! — żarliwie potwierdził Jurek.

Mirski zaprzeczył ruchem głowy.

— W Japonji przyjaciół poznaje się w niedoli, tyś zaś pierwszy wystąpił przeciwko mnie, kiedy ci wszyscy zmówili się, żeby mi zrobić przykrość...

— Nie wszyscy — odezwało się kilku chłopców.

Stefek wyprostował się dumnie:

— Dlaczego wtedy nikt tego nie powiedział?

Nikt nie odpowiedział. Gromada czuła, że niema żadnego usprawiedliwienia. Ślaski załamał się pierwszy. Przypadł do Mirskiego i mówił wśród płaczu:

— Wiem, że bardzo jestem winien. Dopiero w domu wytłumaczono mi, jak straszny błąd popełniłem, ale ja zań bardzo, bardzo żałuję...

(Ciąg dalszy za tydzień.)

## Nasza skrzyneczka

Kochanym Czytelniczkom i Czytelnikom „OPIEKUNA" serdecznie dziękuję za przesłane łask. życzenia świąteczne. Jednocześnie zwracam się do moich małych drogich Przyjaciół, by zachęcali znajomych i krewnych do zaabonowania naszego pisma na miesiąc lipiec.

— **J. Kubikówna.** — Pierwszy wierszyk zamieszczamy; drugi niestety nie może pójść bo naprawdę tak mało miejsca mamy. Przesyłam pozdrowienia.

— **Halinka Marzycka:** Przykro mi bardzo, ale narazie łamigłówek, ani zagadek umieszczać nie możemy a tembardziej rebusów. Jest to połączone z pewnemi trudnościami. Może w przyszłości i ten dział wprowadzimy. Proszę natomiast o ciekawą nowelkę. Za pozdrowienia dziękuję i przesyłam wzajemne.

— **Justynka Bobińska** z Lisewa przysłała nam ładny liścik, w którym donosi, iż dziewczynki przynoszą do szkoły „Opiekuna" i razem go czytają. Bardzo to nas cieszy. Mała Bobińska napisała też śliczny wierszyk z okazji zakończenia roku szkolnego. Nie możemy go jednak już dziś zamieścić, bo jest zbyt długi, — a druga zwrotka mogłaby być przez niektóre koleżanki źle zrozumiana. — Łączę miłe pozdrowienia.

— **WR. PR.** — „W cyrku Kobra" podzielimy na dwie części, z których pierwszą zamieścimy w następnym numerze. „Skarga staruszki" jest tak rzeczywistą, a smutną skargą, że nie chciałbym karmić już dzieci tak gorzką strawą. Dzieciom należy się przecież więcej wesołości. Poco dawać im gorycz w „Opiekunie", gdy życie samo jej nikomu nie szczędzi. A więc: dużo radości życia! — Przesyłam serdeczne pozdrowienia.

Miłych, przyjemnych i zdrowych wakacyj życzy Wam oddany

**WUJASZEK**